

Jiří Kratochvíl *Lež, bestio!* (fragment):

Im bliższy był dzień, w którym mieliśmy się pokazać publicznie podczas procesu, tym szybsze stawało się tempo przygotowań. Arcymistrz podzielił dzieci na dwie grupy, z którymi przerabiał ćwiczenia duchowe, ucząc, jak osiągnąć pragnienie śmierci, jakby to była najpiękniejsza zabawka. Dwa razy dziennie – wczesnym rankiem i późnym wieczorem – zgromadzeni na rajskim dworze odmawialiśmy tak zwaną modlitwę, poranną i wieczorną. Dozorcy odczytywali nam teksty, w których jako sprzedawczyki oraz zdrajcy narodu przyznawaliśmy się chóralnie do najohydniejszych zbrodni, nazywaliśmy siebie wściekłymi psami, śmierdzącymi szczurami i krwiożerczymi bestiami, błagając przy tym o haniebną śmierć. Zdarzało się, że modlitwy przechodziły w histeryczny wrzask, niektóre dzieci zrywały z siebie habity, niecierpliwie nadstawiając szyje wyimaginowanemu stryczkowi, a piersi salwie plutonu egzekucyjnego. Wtedy dozorcy traktowali je jak histeryków: wymierzywszy im kilka ostrych policzków, zaciągali do cel. A przecież nie było wątpliwości, że ataki hysterii świadczyły o szczerym przeżywaniu modlitwy.

Jeśli jesteście teraz ciekawi, czy i mnie kiedyś należało zdzielić po buzi, oszczędźcie sobie tego pytania. Życie w absolutnej klasztornej izolacji, w warunkach rozmaitych ograniczeń musiało się, rzecz jasna, odcisnąć na nas wszystkich. Lecz ja, mając znacznie większą odporność, stanowiłem tam wyjątek. Owszem, jako mózg spisku mogłem być odporniejszy, w porównaniu z moimi braćmi i siostrami byłem jednak poddany dużo silniejszej presji fizycznej i psychicznej.

Elementem naszych przygotowań były też prastare praktyki klasztorne, dzięki którym mnisi oraz mniszki potrafili stłamsić swe grzeszne cielesne chucie i oswobodzić duszę, co polegało na tym, że ciało było traktowane jako jej wróg. Aplikowano więc nam głódówki, czasami zaś zmuszano do tego, byśmy całą noc czuwali, chodząc bez przerwy po swych celach, aż padaliśmy ze zmęczenia. O wiele później dowiedziałem się od Arcymistrza, że przygotowania do procesu były też poprzedzone eksperymentami z psychologii i neurologii psów w laboratoriach I.P. Pawłowa.

Ach, sądzę, że spisaliśmy się wtedy całkiem nieźle i że Arcymistrz mógł z nas być zadowolony. A jeżeli ktokolwiek naprawdę zawiodł, byli to dozorcy. O ile mnie pamięć nie myli, obiecałem o tym opowiedzieć. Proszę bardzo.

W odróżnieniu od nas dozorcy raczej by nie wytrzymali tutejszych ograniczeń i dlatego co jakiś czas dostawali przepustki. A przy tym jestem przekonany, że zostali wybrani po selekcji najostrzejszej z możliwych. Cóż, dorośli nie mają ogromnych zdolności przystosowawczych dzieci, tej umiejętności pełnego pogodzenia się z losem. Inaczej mówiąc, dozorcy stanowili najsłabszy punkt klasztoru.

Wróćmy wszakże do przepustek, bo któraś miała taki oto koniec.

Jeden z dozorców wrócił dopiero późną nocą w towarzystwie jakiejś zdziiry, naruszając tym samym najważniejszy przepis, mający zagwarantować, że niewtajemniczeni nie dowiedzą się o istnieniu Studni. Oboje mocno pijani. I gdy tylko wpadli do środka, zaczął wskazywać na drzwi cel, wykrzykując, że wszędzie tam są dzieci, bardzo ładne, bystre dzieciaki, najładniejsze i najbystrzejsze, kwiat narodu. Cholera, jak tylko zechcesz, możesz sobie jedno albo dwa wybrać i zabrać, bo te dzieciaki i tak są przeznaczone na rzeź. Po czym dodał, że

(stałem przy uchylonych lekko drzwiach) zaraz zbudzi wszystkie dzieci i zrobi im na dziedzińcu zbiórkę. Będiesz se mogła wybrać najfajniejszego chłopaczka i najśłodszą dziewczuszkę! Pokazawszy pęk kluczy, chwiejnym krokiem podszedł do jednej z cel. Co za okropna pomyłka! Był w niej bowiem Arcymistrz, który właśnie stanął w drzwiach, patrząc tak, jak potrafił tylko on: jednym okiem mrocznym, a drugim lodowatym. Ale do ciężko zalanego dozorczy wciąż nic nie docierało; śmiejąc się, prawy palec wskazujący wycelował w mroczne, a lewy w lodowate oko Arcymistrza. Zdzira połapała się szybciej i krzyknęła: Jożka, w nogi! Arcymistrz jednak zdążył już zbudzić drugiego dozorcę i wspólnym wysiłkiem zatrzymali oboje.

Łapy precz ode mnie! Z ciebie takie samo gówno jak ja!, wrzeszczał pierwszy do drugiego, starając się go kopnąć, a dzzira drapała i gryzła. Wszystko na nic, zostali wywleczeni przez kloakę na zewnątrz.

Po takim pijaństwie ma się straszliwego kaca, więc im go oszczędziłem, wyjaśnił mi Arcymistrz.

I zanim pospiesznie wybrano, przeszkolono oraz skierowano do Studni następcę, drugi z dozorców przez cały tydzień pełnił obowiązki za dwóch. Lecz ten pospiesznie poduczony długo tu miejsca nie zagrzał, już po czternastu dniach poprosił o zwolnienie. Miał pecha, bo wcześniej nikt mu nie wytłumaczył, że odejście stąd na własną prośbę po prostu nie wchodzi w rachubę.